

Legendarna książka, która zainspirowała miliony czytelników
do zmiany swojego życia

Robert M. Pirsig



JAK ODNALEŹĆ WE WSPÓŁCZESNYM ŚWIECIE
RÓWNOWAGĘ, SZCZĘŚCIE I SPEŁNIENIE

Robert M. Pirsig

Zen i sztuka obsługi motocykla

tłumaczenie
Tomasz Bieroń

Kraków 2017

znak *litera
nova*

Tytuł oryginału

Zen and the Art of Motorcycle Maintenance: An Inquiry Into Values

Copyright © 1974, 1999 by Robert M. Pirsig

Published by arrangement with HarperCollins Publishers.

All rights reserved.

Copyright © for the translation by Tomasz Bieroń

Projekt okładki

Magda Kuc

Opieka redakcyjna

Przemysław Pełka

Ewa Polańska

Artur Wiśniewski

Opracowanie tekstu i przygotowanie do druku

MELES-DESIGN

ISBN 978-83-240-3651-6

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Wydanie I (Znak), Kraków 2017

Druk: READ ME

1

Widzę na zegarku, nie zdejmując dłoni z kierownicy motocykla, że jest ósma trzydzieści rano. Wiatr, nawet przy prędkości stu kilometrów na godzinę, jest ciepły i wilgotny. Skoro już o tej godzinie jest gorąco i parno, nie wróży to dobrze na popołudnie.

Wiatr niesie ze sobą ostre zapachy przydrożnych mokradeł. Jedziemy na północny zachód z Minneapolis w stronę Dakoty, przecinając Płaskowyż Centralny, upstrzony tysiącami stawów, w których pływają dzikie kaczki. Jedziemy starą betonową dwupasmówką, na której ruch jest niewielki, odkąd kilka lat temu zdublowała ją autostrada. Kiedy mijamy bagnisko, powietrze nagle staje się chłodniejsze. Potem wraca upał.

Jestem szczęśliwy, że mogę wrócić na motocyklu do tej krainy. Są to odludne, mało znane tereny i właśnie to mi się w nich podoba. Gdy telepiemy się starą, wyboistą drogą, pomiędzy preriami i bagiennymi trawami, ulatniają się wszystkie moje zmartwienia. Tu i ówdzie migotają lustra wody, a nad szuwarami fruwały dzikie kaczki. Widzę też czerwonoskrzydłego kosa.

– Patrz! – drę się do Chrisa, klepiąc go w kolano.

– Co?! – wrzeszczy.

– Kos!

Woła do mnie coś, czego nie słyszę.

– Co? – odkrzykuję.

Chwyta za mój kask i drze się jeszcze głośniejsze:

– Widziałem ich już setki, tato!

Czerwonoskrzydłe kosi nie robią większego wrażenia na jedenastolatkach. Dla mnie ten widok łączy się ze wspomnieniami, których on jeszcze nie ma. Zimne poranki sprzed lat, kiedy trawa przy bagniskach już zrudziała, a bazy kołysały się na północno-zachodnim wietrze. Kwaśny zapach błota unosił się spod podeszew naszych rybackich butów, gdy czekaliśmy na wschód słońca w pierwszy dzień sezonu myśliwskiego. W zimie, kiedy stawy były zamrożone, chodziłem po lodzie pośród ogólnej martwoty i chłodu, widząc tylko szare niebo. Kosów ani śladu.

Dzisiaj jednak, w ten lipcowy poranek, kosi wróciły, wszystko tętni życiem, każda pięćdziesiątka mokrądek bzy, mruży, skrzeczy i wrzeszczy. Miliony żywych istnień prowadzą wspólne życie, które cechuje pogodna harmonia.

Jadąc na motocyklu, widzi się wszystko zupełnie inaczej. W samochodzie podróżuje się w zamknięciu, a ponieważ jesteśmy do tego przyzwyczajeni, nie zdajemy sobie sprawy, że widok z okna niewiele odbiega od krajobrazu oglądanego w telewizji. Jesteśmy biernymi widzami nudnego spektaklu, który przesuwa się przed nami na ekranie.

Kiedy dosiadasz motocykla, ekran znika. Mamy bezpośredni kontakt z otoczeniem. Wtedy nie tylko oglądamy, ale również uczestniczymy. Wstęga betonu świszczącego kilkanaście centymetrów pod stopą naprawdę jest wstęgą betonu. Przy tej prędkości jest rozmyty, ale w każdej chwili możemy dotknąć go stopą, pozostaje cały czas dostępny naszej bezpośredniej świadomości.

Chris i ja podróżujemy do Montany z przyjaciółmi, którzy jadą nieco przed nami. Być może wybierzemy się jeszcze dalej. Plany są celowo nieokreślone, bardziej chodzi nam o samo

podróżowanie niż o dotarcie do celu. Jesteśmy na wakacjach i wolimy podrzędne drogi. Najlepsze są drogi lokalne, potem stanowe, pod żadnym pozorem autostrady. Nigdzie nam się nie spieszy, dzięki czemu cała perspektywa ulega zmianie. Kręte drogi pośród wzniesień wydają się długie w kategoriach czasowych, lecz znacznie przyjemniej jest wziąć ostry wiraż na motocyklu, niż objąć się w ciasnej kabinie samochodu. Mało uczęszczane drogi są nie tylko przyjemniejsze, ale i bardziej bezpieczne. Bez barów szybkiej obsługi. Bez tablic reklamowych. Zagajniki, łąki, sady i trawniki dochodzą prawie do samego pobocza, dzieci machają do nas rękami, ludzie wychylają się z ganków, aby sprawdzić, kto jedzie, a kiedy zatrzymujemy się, żeby spytać o drogę, najprostsza odpowiedź przeradza się w całą rozmowę: skąd jesteście? dokąd jedziecie? jak długo podróżujecie?

Upłynęło już kilka lat, odkąd moja żona, ja i nasi przyjaciele zagustowaliśmy w tych drogach. Wjeżdżaliśmy na nie od czasu do czasu dla odmiany albo żeby skrócić sobie trasę do następnej głównej szosy. Za każdym razem krajobraz był tak piękny, że opuszczaliśmy te tereny odprężeni i szczęśliwi. Dopiero po dłuższym czasie zdaliśmy sobie sprawę z tego, co powinno być od początku oczywiste: te drogi w niczym nie przypominają głównych. Wszystko jest inne: tempo życia i charakter ludzi, którzy przy nich mieszkają. Ci ludzie nigdzie się nie spieszą, mają czas na uprzejmość. Doskonale wiedzą, że rzeczywistość jest tu i teraz. Ci, którzy przed laty przeprowadzili się do miast, i ich dzieci zupełnie o tym zapomnieli. Czuliśmy się tak, jakbyśmy na powrót odkryli sens życia.

Często zadawałem sobie pytanie, dlaczego zrozumieliśmy to dopiero po tak długim czasie. Prawda leżała przed nami jak na dłoni, lecz nie potrafiliśmy jej zobaczyć. A raczej mieliśmy

nieodpowiednio wyszkolone oczy. Nauczono nas myśleć, że tylko w miastach dzieje się coś rzeczywistego, a na prowincji panuje marazm i nuda. Zadziwiające. Prawda puka do drzwi, a ty mówisz: „Odejdź, bo szukam prawdy”, więc odchodzi. Niepojęte.

Kiedy już jednak rozsmakowaliśmy się w tych drogach, nic nie potrafiło nas od nich odciągnąć – jeździliśmy nimi w weekendy, wieczorami, podczas urlopów... Staliśmy się miłośnikami podrzędnych dróg.

Najpierw musieliśmy się jednak nauczyć, jak je rozpoznawać na mapie. Jeśli linia się wiję, to dobrze. To znaczy, że jest górzyscie. Jeżeli prowadzi prosto jak strzełił z jednego miasta do drugiego, to źle. Najlepsze zawsze prowadzą znikąd donikąd i są tylko wariantami innych, szybszych tras. Jeżeli wyjeżdżasz z dużego miasta na północny wschód, nigdy nie jedź prosto na północny wschód. Skręć na północ, potem na wschód, potem znów na północ, a wkrótce znajdziesz się na podrzędnej drodze, z której korzystają jedynie miejscowi.

Najważniejsza umiejętność polega na tym, aby się nie zgubić. Ponieważ, jak się rzekło, z dróg tych korzystają wyłącznie miejscowi, którzy znają je na pamięć, nikt się nie skarży, jeżeli przed skrzyżowaniem nie ma drogowskazów. A często ich nie ma albo jest tylko mała tablica dyskretnie ukryta w zaroślach. Ci, którzy zajmują się oznakowaniem lokalnych dróg, nie lubią się powtarzać. Jeżeli nie zauważyłeś schowanej w zaroślach tablicy, to nie ich kłopot, ale twój. Ponadto szybko się zorientujesz, że mapy samochodowe nie są zbyt skrupulatne w interesującej cię kwestii: nierzadko „droga okręgowa” przechodzi w drogę gruntową, potem w polną, by skończyć się na pastwisku albo na podwórzu jakiegoś farmera.

Zazwyczaj jeździmy więc na ślepo, kierując się wszelkimi znakami orientacyjnymi, które napotykamy. Zawsze mam

w kieszeni kompas, aby wiedzieć, w jakim kierunku jedziemy, gdy słońce jest ukryte za chmurami. W specjalnym uchwycie na zbiorniku paliwa wożę też otwartą mapę, mogę zatem obliczyć, ile kilometrów ujechaliśmy od ostatniego skrzyżowania. Dzięki takiemu wyposażeniu i temu, że nie musimy nigdzie „zdążyć”, zawsze gdzieś dojedziemy. Cała Ameryka należy do nas.

W Święto Pracy albo w Dzień Pamięci można przejechać tymi drogami wiele kilometrów, nie napotykając żadnego samochodu, a potem przeciąć drogę federalną i zobaczyć sznur aut ciągnący się aż po horyzont, zderzak w zderzak. W środku twarze wykrzywione złością. Dzieci płaczą na tylnym siedzeniu. Zawsze miałem ochotę porozmawiać z tymi ludźmi i wyjaśnić im, że nie ma się dokąd spieszyć, ale chyba by mnie nie posłuchali...

Widziałem te mokradała tysiące razy, lecz wciąż są dla mnie objawieniem. Źle się wyraziłem, kiedy nazwałem je spokojnymi. Równie dobrze można powiedzieć, że są okrutne czy absurdalne. To także prawda. Ich natura wykracza poza tego rodzaju pojęcia. Uwaga! Olbrzymie stado czerwonoskrzydłych kosów zrywa się do lotu z gniazd w bagiennych szuwarach, przestraszyły się warkotu motocykla. Po raz drugi uderzam Chrisa w kolano, po czym przypominam sobie, że czerwonoskrzydłe kosy nieszczególnie go pasjonują.

– Co?! – wrzeszczy znowu.

– Nic.

– Jak to nic?

– Chciałem tylko sprawdzić, czy wciąż tam jesteś.

Jadąc na motocyklu, trudno jest prowadzić długie rozmowy, chyba że ktoś lubi krzyczeć. Zamiast rozmawiać, człowiek otwiera się na świat, medytuje. Patrzy, słucha, wczuwa się

w pogodę, snuje wspomnienia. Myśli niespiesznie o swojej maszynie, o krajobrazie i tysiącu innych spraw, nie mając poczucia straty czasu.

Chciałbym w tej książce pomówić o tych wszystkich rzeczach, które przemknęły mi przez głowę podczas jazdy. Żyjemy w takim pośpiechu, że rzadko mamy okazję porozmawiać. Dzień po dniu pozostajemy na monotonnej powierzchni rzeczy. Mijają lata i potem dziwimy się i żalujemy, że tak szybko uciekły. Teraz, kiedy mam czas, aby porozmawiać, chciałbym to wykorzystać na refleksję nad kwestiami, które wydają mi się ważne.

To, co wydaje mi się ważne, jest jak *chautauqua* – to jedyne porównanie, jakie przychodzi mi do głowy. Nazywano tak niegdyś wędrowne spektakle pod namiotem, które pokazywano w całej Ameryce, tej Ameryce, w której żyjemy. Był to rodzaj popularnych, staroświeckich pogadanek, które miały „uczyć, bawić”, niosły słuchaczom kaganek kultury i moralności. *Chautauqua* zastąpiły radio, kino i telewizja. Nie mam wcale pewności, czy możemy tu mówić o postępie. Ludzka świadomość dzięki temu płynie szybszym i szerszym strumieniem, ale chyba mniej głębokim niż kiedyś. Nie mieści się w swoich dawnych korytach, a w poszukiwaniu nowych czyni coraz większe spustoszenia na brzegach. W mojej *chautauqua*, która się właśnie rozpoczyna, nie zamierzam kopać nowych kanałów świadomości, lecz jedynie pogłębić stare, zarosłe mułem nieświeżych myśli i powtarzanych w nieskończoność frazesów. „Co nowego?” – oto odwieczne, ciekawe i zawsze wzbogacające pytanie. Jeżeli jednak na nim poprzestać, zalewa nas powódź modnych banałów, namuł jutra. Zamiast tego chciałbym zająć się pytaniem: „Co jest najlepsze?” – pytaniem, które raczej pogłębia niż poszerza koryto, dzięki czemu można dopłynąć

do morza. W historii ludzkości zdarzały się epoki, w których ścieżki myślenia były tak jednoznacznie wytyczone, że żadna zmiana nie była możliwa i nigdy nie zdarzało się nic nowego. O tym, co jest „najlepsze”, decydował dogmat. Teraz jednak mamy do czynienia z zupełnie inną sytuacją. Strumień naszej zbiorowej świadomości występuje z brzegów, gubi poczucie kierunku, zalewa tereny nizinne, tworząc odizolowane od siebie wyspy. Nie ma w tym wszystkim innego celu jak tylko jałowe spełnienie swego wewnętrznego pędu. Wydaje się, że warto byłoby pogłębić kanały.

John Sutherland i jego żona Sylvia zatrzymali się na przydrożnym parkingu. Czas rozprostować kości. Parkuję swoją maszynę obok ich bmw, podczas gdy Sylvia zdejmuje kask i roztrzepuje włosy. John stawia motocykl na nóżkach. Nikt nic nie mówi. Odbiliśmy razem tyle podróży, że rozumiemy się bez słów. Rozglądamy się wokół w milczeniu.

O tej porze dnia przy stołach nie ma nikogo. Cały parking mamy dla siebie. John idzie przez trawę do żeliwnej pompy nabrać wody do picia. Chris przecina zagajnik i schodzi po trawie nad strumyczek. Ja stoję i patrzę.

Po chwili Sylvia siada na drewnianej ławce i rozprostowuje nogi, powoli podnosi najpierw jedną, potem drugą, nie patrząc do góry. Długie milczenie zdradza u niej pewną melancholię, więc robię uwagę na ten temat. Sylvia na chwilę podnosi wzrok, a następnie znów go spuszcza.

– Ci wszyscy ludzie w samochodach, którzy jechali w drugą stronę... – mówi. – Pierwszy wydawał się smutny. Drugi wyglądał dokładnie tak samo, potem następny i następny, i następny... Wszyscy wyglądali tak samo...

– Jechali do pracy, nie widzę w tym nic nienaturalnego, że nie tryskali szczęściem.

Nie przekonałem jej, więc brnę dalej:

– Tak, ludzie *pracują*. Jest poniedziałek rano. Jeszcze się porządnie nie obudzili. Kto w poniedziałek rano jedzie do pracy uśmiechnięty?

– Wyglądali na zupełnie zagubionych – mówi. – Jakby byli martwi. Kondukt pogrzebowy. – Stawia obie nogi na ziemi.

Rozumiem, co chce powiedzieć, ale logicznie rzecz biorąc, to do niczego nie prowadzi. Trzeba pracować na życie i oni wszyscy to właśnie robią.

– Ja patrzyłem na mokradła – mówię.

Po chwili podnosi wzrok i pyta:

– I co widziałeś?

– Stado czerwonoskrzydłych kosów. Wzlatywały nagle, kiedy przejeżdżaliśmy. Bardzo się ucieszyłem na ich widok. Przywołują mnóstwo wspomnień.

Sylvia zastanawia się przez chwilę, a potem uśmiecha. Widzę jej twarz na tle głębokiej zieleni drzew. Sylvia zawsze doskonale rozumie wszystko to, co nie zostaje wypowiedziane. Córka Ewy.

– Tak – mówi. – Piękne ptaki.

– Rozglądaj się za nimi.

Wraca John i sprawdza bagaż. Podciąga jedną z linek, otwiera torbę przy siodełku i zaczyna w niej grzebać. Kładzie na ziemi jakieś rzeczy.

– Gdybyś potrzebował sznurka, to nie krępuj się – mówi. – Wziąłem pięć razy za dużo.

– Na razie dziękuję.

– Zapalki? Krem przeciwsłoneczny? Grzebień? Sznurówki? Sznurówki?! Do czego są nam potrzebne sznurówki?

– Nie zaczynaj – ostrzega Sylvia.

Patrzą na siebie z kamiennymi minami, a potem oboje przenoszą wzrok na mnie.

– Nigdy nie wiadomo, do czego mogą się przydać sznurówki – oświadczam sentencjonalnie.

Tym razem uśmiechają się, ale nie do siebie.

Wraca Chris. Pora ruszać. Podczas gdy on przygotowuje się i wsiada na motocykl, oni wyjeżdżają na drogę. Sylvia macha do nas. Patrzę, jak się oddalają.

Chautauqua na tę podróż została zainspirowana przez Johna i Sylwię wiele miesięcy temu. Być może ma coś wspólnego z pewną dysharmonią, którą między nimi dostrzegałem. Wyobrażam sobie, że dysharmonie to w małżeństwie chleb powszedni, ale ich przypadek wydaje się bardziej tragiczny. Przy najmniej mnie. Nie chodzi o nieprzystawalność charakterów. Chodzi o konflikt, za który żadne z nich nie ponosi winy i którego żadne z nich nie potrafi rozwiązać. Ja również nie mam żadnego rozwiązania. Tylko przemyślenia.

Przemyślenia te nawiedziły mnie przy okazji pewnej z pozoru mało istotnej różnicy opinii między Johnem a mną: w jakim stopniu należy samemu zajmować się obsługą swojego motocykla. Ja uważam za naturalne i oczywiste, że trzeba korzystać ze skrzyneczek z narzędziami i instrukcji obsługi, które są sprzedawane razem z maszyną, i samemu regulować silnik i dokonywać drobnych napraw. John jest innego zdania. Woli powierzyć te sprawy kompetentnemu mechanikowi.

Oba te punkty widzenia są pośród motocyklistów rozpowszechnione i ta drobna różnica zdań nie nabrałaby takiego znaczenia, gdybyśmy tyle ze sobą nie jeździli, nie przesiadywali

nad piwem w prowincjonalnych knajpach i nie rozprawiali o wszystkim, co nam przyszło do głowy w ciągu ostatnich czterdziestu pięciu minut od poprzedniej rozmowy.

Niezależnie od tego, czy rozmowa dotyczy drogi, pogody, ludzi, starych wspomnień czy bieżących wydarzeń z gazet, zawsze przebiega harmonijnie i bezproblemowo. Zawsze jednak kiedy wywołuję temat motocykla, zaczyna się urywać. Między Johnem a mną zapada cisza. Tak jakby dwóch starych znajomych, katolik i protestant, siedziało przy piwie, ciesząc się życiem, i nagle pojawił się temat kontroli urodzeń. Zimny prysznic.

Z tego rodzaju problemami jest tak jak z wypadniętą plombą w zębie – obmacujemy dziurę językiem nie dlatego, że sprawia nam to przyjemność, ale dlatego, że nas to prześladowe. Analogicznie, im bardziej wierzę i drążę problem obsługi motocykla, tym bardziej John jest zirytowany, w związku z czym ja postępuję jeszcze bardziej zapamiętałe. Nie robię tego, żeby go mocniej zdenerwować, lecz dlatego, że jego irytacja wydaje się symptomem czegoś głębszego, nie od razu widocznego.

W dyskusji na temat kontroli urodzeń spór nie sprowadza się do kwestii, czy na świat powinno przychodzić więcej czy mniej dzieci. To tylko powierzchnia konfliktu, pod którą kryją się dwa różne pojęcia o świecie: wiara w planowanie społeczne metodami empirycznymi przeciwstawiona wierze w objawienie Boże zawarte w nauczaniu Kościoła katolickiego. Można do znudzenia wskazywać praktyczne korzyści płynące z planowania rodziny, ale do niczego to nie doprowadzi, ponieważ dla naszego antagonisty dobra nie mierzy się użytecznością społeczną.

Tak samo w moich dyskusjach z Johnem – mogę zedrzeć sobie głos, wychwalając praktyczne zalety samodzielnej obsługi motocykla, lecz na nim nie robi to najmniejszego wrażenia.

Jak w epoce pozorów odnaleźć prawdziwą wolność?

Dlaczego warto nauczyć się czerpać radość
z własnego działania i postawić na niezależność?

I dlaczego zamiast jechać do mechanika, lepiej samemu
pogrzebać w silniku motocykla?

Aby odkryć odpowiedzi na najważniejsze pytania, czasem
trzeba zwolnić i zjechać z drogi, którą podążają wszyscy.

Zen i sztuka obsługi motocykla to zapis niezwyklej wakacyjnej
podróży, którą autor odbył ze swoim jedenastoletnim synem.
Wyprawa na motorze przez Amerykę stała się dla nich obu okazją
do poznania się nawzajem i uczenia się od siebie oraz
do zastanowienia nad tym, co najważniejsze.

Z książką Roberta R. Pirsiga wyruszysz w podróż, która sprawi,
że inaczej spojrzysz na swoje życie.

**KSIĄŻKA, KTÓRA ODMIENIŁA POKOLENIE I WCIAŻ INSPIRUJE
MILIONY CZYTELNIKÓW.**

Cena 39,90 zł

ISBN 978-83-240-3651-6



9 788324 036516 >

znak.com.pl
KSIĄŻKI Z DOBREJ STRONY

E-book dostępny na
woblink.com